

NR 1 NA LIŚCIE BESTSELLERÓW NEW YORK TIMESA

SYLVIA BROWNE  
LINDSAY HARRISON

# BLIŚCY NIE ODCHODZĄ

WSPARCIE Z DRUGIEJ STRONY



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*...coś więcej niż psychologia*

„*Bliscy nie odchodzą. Wsparcie z Drugiej Strony* to najbardziej solidna i autentyczna książka podejmująca temat drugiej strony, jaką kiedykolwiek czytałam. Już po przeczytaniu pierwszych kilku stron zdajesz sobie sprawę z faktu, że Sylvia Browne jest kimś więcej niż medium – jest mistrzynią przekazywania prawdy istniejącej w czwartym wymiarze”.

– doktor Caroline Myss  
autorka *Anatomii Duszy*

W *Bliscy nie odchodzą. Wsparcie z Drugiej Strony* Sylvia Browne, medium o światowej sławie, bestsellerowa autorka „New York Timesa” idzie krok dalej i przedstawia bezprecedensową oraz wyczerpującą „wycieczkę” w zaświaty. To objawienie, które zmienia wizerunek świata, wskazało milionom osób, jak żyć dzisiaj, jutro i na wieki...

## CO ZNAJDZIESZ W KSIĄŻCE?

- informacje o tym, jak przewodnicy duchowi i anioły codziennie do nas „przemawiają”
- prawdę o zjawach i nawiedzeniach
- wyjaśnienia „niemożliwych do rozwiązania” kwestii zaginionych
- odpowiedzi, jak energia psychiczna może utrzymać ludzi w zdrowiu i pomóc w związkach
- odpowiedzi, dlaczego nie powinniśmy obawiać się starzenia i śmierci
- obowiązkowe przepowiednie na nowe stulecie
- ...i wiele innych.



BLISCY  
NIE ODCHODZĄ



SYLVIA BROWNE  
LINDSAY HARRISON

BLIŚCY  
NIE ODCHODZĄ

WSPARCIE Z DRUGIEJ STRONY



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*...coś więcej niż psychologia*

Redakcja: Ewa Karczewska  
Skład komputerowy: Piotr Pisiak  
Projekt okładki: Piotr Pisiak  
Tłumaczenie: Grzegorz Ciecieląg  
Korekta: Ewa Skarżyńska

Wydanie I  
BIAŁYSTOK 2010  
ISBN 978-83-7377-429-2

THE OTHER SIDE AND BACK

Copyright © Sylvia Browne

This edition published by arrangement with Dutton,  
a member of Penguin Group (USA) Inc.

© Copyright for this edition by Studio Astropsychologii, Białystok, 2010.

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.



STUDIO  
ASTROPSYCHOLOGII  
*...coś więcej niż psychologia*

15-762 Białystok  
ul. Antoniuk Fabr. 55/24  
85 662 92 67 – redakcja  
85 654 78 06 – sekretariat  
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt  
85 654 78 35 – sklep firmowy „Talizman” – detal  
[www.studioastro.pl](http://www.studioastro.pl) e-mail: [biuro@studioastro.pl](mailto:biuro@studioastro.pl)

Więcej informacji znajdziesz na portalu [www.psychotronika.pl](http://www.psychotronika.pl)

PRINTED IN POLAND

# SPIS TREŚCI

Podziękowania .....	11
Wstęp dr. medycyny Melvina L. Morse'a .....	13
Do moich Czytelników .....	19
1. Pomoc z Drugiej Strony: Nasze anioły i przewodnicy duchowi .....	27
2. Magia i cuda na co dzień: Odkrywanie i tworzenie radości w waszym życiu .....	49
3. Wasze życie osobiste: Związki międzyludzkie i rodziny z punktu widzenia duchowego medium .....	71
4. Na zdrowie: Parapsychiczne recepty dla umysłu i ciała .....	93
5. Życie po życiu: Jak odkryć swoje poprzednie wcielenia .....	113
6. Nawiedzenia: Czym są i jak sobie z nimi radzić .....	137
7. Mroczna Strona: Jak obronić się przed otaczającym nas złem .....	159
8. Dziesięć rzeczy, których się obawiamy, i czemu nie powinniśmy się ich bać .....	183
9. Przepowiednie Sylvii na nowy wiek .....	207
Dodatek: Afirmacje .....	215





*Dedykacje:*

*Od Sylvii*

*Mojej rodzinie...*

*Dla Angelii, obym była wiatrem pod twoimi skrzydłami,  
jakim dla mnie była babcia Ada...  
I, jak zawsze, dla Montela.*

*Od Lindsay*

*Dla mojej matki Fern Underwood, która przedstawiła mnie Sylvii  
i która wniosła do mojego życia tak wiele,  
że nigdy nie będę w stanie jej się odplacić.*



# PODZIĘKOWANIA

**D**la utalentowanych, czujnych ludzi, jak Brian Tart, Bonnie Solow i Reid Tracy, za okazanie mi wsparcia, swobody i zachęty, bym dała wyraz swojej pasji pisania.

Moim kochanym współpracownikom, niezmordowanym kapłanom i moim grupom badawczym rozsianym po całym kraju.

Członkom społeczności medycznej, psychiatrycznej i ochrony porządku publicznego w całym kraju, którzy obdarzają zaufaniem, wiarą i przyjaźnią tę oddaną służebnicę społeczeństwa.

Moim klientom, przyjaciółom i widzom na całym świecie oraz wszystkim tym klientom, przyjaciółom i widzom, których poznam w przyszłości. Moja miłość dla was to otwarte drzwi, przez które zawsze możecie przejść.

Dla dr Carolyn Doherty z Beverly Hills w Kalifornii za jej zdolności, artyzm i rzadko spotykane miłe usposobienie.

Mojemu synowi Christopherowi, którego szczodrości zawdzięczam piękny dom, w którym mogę pisać, a miłości to, że stał się on prawdziwym domem.

Mojemu synowi Paulowi za przyjaźń i zrozumienie. Moim pięknym synowym, Ginie i Nancy, które wysoko sobie cenię i które ofiarowały mi najwspanialsze ze wszystkich darów – Angelię, Willy'ego i Jeffreya.

Larry'emu, który sprawia, że moje życie staje się łatwiejsze i wypełnia je miłość.

I w końcu mojemu najukochańszemu tacie Williamowi T. Shoemakerowi, który kochał wszystko, co robiłam.

Składam wam wyrazy mojej najgłębszej, wiecznej wdzięczności.





# WSTĘP

DR. MEDYCYNY MELVINA L. MORSE'A

To zaszczyt i przyjemność móc napisać wstęp do tej książki. Sylvia Browne pojawiła się w moim życiu w tym jego momencie, gdy zdecydowałem, że zakończę badania nad doświadczeniami z pogranicza śmierci i poświęcę się całkowicie praktyce pediatrycznej. Przygotowała dla mnie odczyt psychiczny tak dokładny i głęboko poruszający, iż odmienił całkowicie moje spojrzenie na temat życia po śmierci. Po piętnastu latach słuchania opowieści o dzieciach, które przetrwały śmierć, przekonałem się, iż z naukowego punktu widzenia można utrzymywać, że świadomość trwa po zgonie.

Wszyscy rodzimy się z konkretnym, biologicznym łączem z pełnym miłości wszechświatem. Sylvia Browne posiada zdolność pozwalającą jej sięgnąć do tego źródła uniwersalnej wiedzy, a także mądrość i przenikliwość pozwalające jej dokonać interpretacji tejże wiedzy dla innych. Wiem, że moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby nie przypadkowe z nią spotkanie w ogólnokrajowym programie telewizyjnym siedem lat temu.

Badałem doświadczenia z pogranicza śmierci u dzieci, sądząc, że za ich występowanie odpowiedzialne były różnorakie leki podawane poważnie chorym. Byłem aroganckim, młodym lekarzem, zajmującym się badaniami nad rakiem w Szpitalu Dziecięcym w Seattle. Na własne uszy słyszałem od dzieci kilka opowieści o doświadczeniach z pogranicza śmierci, ale za każdym razem sądziłem, że były one efektem działania leków.

Nasze badania przeprowadzone w Szpitalu Dziecięcym w Seattle udokumentowały, że doświadczenia z pogranicza śmierci są prawdziwe i wiążą się z konkretną funkcją pewnej okolicy naszego mózgu. Okolica ta – prawy płąt skroniowy – to nasz „boski moduł”. Wszyscy się z takim rodzimy. Opublikowaliśmy wyniki tych badań w „Magazynie Pediatrycznym” wydawanym przez Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne.

Natychmiast spotkałem się z krytyką moich badań i towarzyszących im metod. Często miała ona charakter osobisty. Prowadziłem prywatną praktykę pediatryczną i dopiero co zakończyłem etat naukowy, prowadząc badania dotyczące guzów mózgu u dzieci. Uważałem moje badania nad doświadczeniami z pogranicza śmierci za fascynujące zajęcie poboczne, ale nie były one niczym, co sam traktowałbym specjalnie poważnie. Były dla mnie sposobem na publi-

kację prac, co wyglądałoby dobrze w moim CV, ale niczym ponadto. A poruszyłem najwyraźniej temat, który wszystkim działał na nerwy. W rozmowie z dyrektorem szpitala usłyszałem:

– Melvinie, tak się właśnie kończy opowiadanie ludziom o śmierci. To temat tabu. Powinieneś zostać przy tym, co ci wychodzi najlepiej – praktykowaniu prawdziwej medycyny.

Niedługo później odwiedziłem Holandię, gdzie miałem wygłosić wykład na zaproszenie Wolfganga von Lummela z uniwersytetu w Utrechcie. Badał on doświadczenia z pogranicza śmierci u dorosłych, używając takich samych jak i my metod, i doszedł do analogicznych wniosków. Gdy zakończyłem swoją prelekcję, pewna Holenderka nalegała, by ze mną porozmawiać. Nie została zaproszona, ale błagała doktora von Lummela o możliwość uczestniczenia w prelekcji. Powiedziała, że ma dla mnie ważną informację.

Poinformowała mnie za pośrednictwem tłumacza, że jest medium. Powiedziała, że dziecko, z którym przeprowadzałem wywiad, a które wkrótce potem zmarło, miało dla mnie wiadomość. Wyciągnęła obrazek, który narysowała.

– To ta dziewczynka – powiedziała. – Chciała, żeby zobaczył pan jej portret, tak by uwierzył pan w moje słowa.

Rzeczywiście, rozpoznałem to dziecko.

– Ma pan rysunek, który dla pana narysowała – kontynuowało medium. – Nie pokazał go pan na wykładzie. Narysuję go dla pana.

Następnie przekazała mi szczegółową informację od dziewczynki. Mówiła, że miałem kontynuować badania nad doświadczeniem śmierci, a także, że dwa anioły będą sprawować nade mną opiekę i mnie wspomagać. Wiadomość zawierała także pewne treści osobiste, mające znaczenie tylko dla mnie.

Cała ta sytuacja do pewnego stopnia mnie rozbawiła. Byłem święcie przekonany, że po fakcie zostanę poproszony o datek. Sądziłem, że może próbowała zwrócić na siebie uwagę, pogrzebała w mojej przeszłości i odgadła kilka rzeczy. Ale zniknęła, nie zostawiając nazwiska, i już nigdy później o niej nie słyszałem.

Poleciałem z powrotem do Nowego Jorku i zapomniałem o całym zdarzeniu. Uznałem je za jedną z tych przydarzających się człowiekowi dziwacznych rzeczy, których nie mogłem tak naprawdę wyjaśnić, ale i nie brałem ich na poważnie.

Mój wydawca poprosił mnie później, bym wystąpił w ogólnokrajowym programie telewizyjnym wraz z Sylwią Browne. Jęknąłem, sądząc, że dopełni to czary goryczy: już nigdy nie będę w stanie z podniesioną głową uczestniczyć w spotkaniach personelu Szpitala Dziecięcego.

Poznałem Sylwię, czekając na swoją kolej pojawienia się w programie. Wywarła na mnie wrażenie osoby twardo stąpającej po ziemi, normalnej. Zdaję sobie sprawę z faktu, jak niegrzecznie jest tak myśleć, ale spodziewałem się postrzeleńca w stroju New Age rzucającego na lewo i prawo pseudopsychologicznymi bzdurami. A gdy tak siedliśmy razem w pokoju dla gości, byłem przy niej cał-

kowicie rozluźniony. Miałem mimowolną chęć opowiedzieć jej o wszystkim, co przeszedłem w ciągu ostatniego roku i jak to chciałem być po prostu pediatrą i nie myśleć już więcej o zdolnościach parapsychicznych i śmierci. Nie mogłem wydusić z siebie słowa, chciało mi się płakać. Sprawiała, że poczułem się swobodnie, gawędząc o mojej stadninie i dzieciach.

– Melvinie, wiem, jak bardzo jesteś pokrzywdzony – powiedziała nagle. – Chcę, żebyś wiedział, że dzieci, którym pomogłeś, są po twojej stronie. Wspomniała o tej samej dziewczynce, o której mówiła mi Holenderka. Powiedziała, że ma dla mnie wiadomość. Następnie słowo w słowo powtórzyła wiadomość, którą przekazała mi Holenderka. Informacja zawierała niezwykle osobiste treści, które trudno byłoby zmyślić lub zgadnąć, i znana była tylko dziewczynce i mnie.

Zignorowałem holenderskie medium, ale nie mogłem zignorować Sylvii. Była ze mną całkowicie szczerą. Przez chwilę rozważałem możliwość wystąpienia niezwykle zbiegu okoliczności lub też uknuć wspólnie przez holenderskie medium i Syla Browne spisku, którego celem było wystrychnięcie mnie na dudka. Zadawałem sobie pytanie: „Co też mogłybyście chcieć osiągnąć?”. Tyle zachodu tylko po to, by przekonać mnie do dalszych badań nad doświadczeniami z pogranicza śmierci?

Przypomniałem sobie, czego nauczył mnie mój doradca John Hopkins:

– Melvinie, jeśli uwierzysz, że przypadek, jaki zdarza się raz na milion, może wyjaśnić, co się tak naprawdę dzieje, to masz jedną szansę na milion, by trafić!

Powiedział mi, że wiara w zbiegi okoliczności to schronienie leniwego umysłu; dla naukowca nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

Wróciłem do domu ożywiony. Oczywistym wyjaśnieniem było, że oba media otrzymały niezależnie od siebie identyczną wiadomość, która coś znaczyła tylko dla mnie. Były biernymi przekaznikami informacji wysyłanej przez zmarłe dziecko. Jako naukowiec specjalizujący się w medycynie byłem zdecydowany dowiedzieć się, jak tego typu przekazy są możliwe. Być może dlatego, że nie wyznawałem żadnej wiary, poza taką, że niedziela jest dniem oglądania transmisji piłki nożnej, zdecydowałem się kontynuować badania na tym polu.

Wykazały one nie tylko, że doświadczenia z pogranicza śmierci są prawdziwe, ale także, iż badając mechanizmy działania tych doświadczeń, dowiadujemy się, że wszystkie istoty ludzkie połączone są z wszechświatem i wszystkim tym, co w nim kiedykolwiek istniało czy istnieć będzie. Dowiadujemy się, że istnieje solidna naukowa podstawa wyjaśniająca, jakim sposobem media mogą rozmawiać z umarłymi i ułatwiać duchowe i fizyczne uzdrowienie.

Zacząłem od podstawowego pytania, które kiedyś zadało mi dziecko, odnosząc się do własnego doświadczenia z pogranicza śmierci. Chłopiec omal nie utonął w wypadku samochodowym. Powiedział mi, że samochód wypełnił się wodą i nagle wszystko „zniknęło”.



– Następnie znalazłem się w wielkiej klusce makaronu.

Zapytałem go, co przez to rozumie.

– Może bardziej przypominało to skręconą kluskę – odparł. – Ale to nie mogła być tak naprawdę kluska, bo nie wydaje mi się, żeby kluski miały w sobie tęcze. To musiał być tunel.

Podróżując tym tunelem, odwiedził tak zwierzęce, jak i ludzkie niebo.

– Ale czy to było naprawdę? – zapytał.

Wszyscy zadajemy to pytanie, zastanawiając się nad podobnymi doświadczeniami. Zadałem je najlepszym krajowym fizykom teoretycznym w Los Alamos, w Nowym Meksyku. Zapytałem ich, czym jest rzeczywistość i skąd wiemy, że coś jest prawdziwe lub nie. Dowiedziałem się, że dokonany przez dziecko opis doświadczenia z pogranicza śmierci jest znacznie bliższy rzeczywistości niż to, czego doświadczamy za pośrednictwem naszych zwyczajnych zmysłów.

Fizycy mówią o „nielokalnej” rzeczywistości jako podstawowej rzeczywistości życia. To poziom rzeczywistości, w którym nie istnieją czas i przestrzeń i wszystko dzieje się naraz. Niezwykle trudno jest nam to zrozumieć, ponieważ jesteśmy, przynajmniej na jednym poziomie, biologicznymi maszynami wyposażonymi w tykający zegar biologiczny. Jesteśmy tak mocno uwarunkowani przez postrzeganie rzeczywistości za pośrednictwem pięciu zmysłów, że nie potrafimy pojąć, jaka naprawdę jest rzeczywistość. To wzorzec energii istniejący w naturze, wzorzec zawierający w sobie wszystko to, co kiedykolwiek było i co kiedykolwiek będzie.

Dzieci, które przeżyły doświadczenia z pogranicza śmierci, nie mają kłopotu z pojęciem tej koncepcji. Pewien chłopiec o swoim doświadczeniu z pogranicza śmierci napisał: „Widziałem kiedyś Światło. Nie przypominało niczego, co można sobie wyobrazić, bo było niczym dźwięk, który istniał jedynie w ciszy smolistej czerni... Światło jest wzorem, który niektórzy nazywają Życiem. Wzloty i upadki, szczęście i smutek, dobro i zło – jedyna prawdziwa rzecz, a jednak nie całkiem w zasięgu naszej ręki”. Gdy zapytałem innego chłopca, ile trwało jego doświadczenie śmierci, odrzekł:

– Mogłaby to być sekunda albo i całe moje życie.

Fizyk Paul Davis, omawiając rzeczywistość nielokalną, stwierdził:

– Złamaliśmy kosmiczny kod. My, ożywiony gwiazdny pył, możemy spojrzeć przelotnie na zasady, którymi rządzi się wszechświat. To, jak połączyliśmy się z tym kosmicznym wymiarem, pozostaje tajemnicą. A jednak istnieniu powiązania nie można zaprzeczyć.

Gdy przeczytałem to oświadczenie, nagle pojąłem, czym jest owo powiązanie. Musi to być ta sama biologiczna struktura, która pozwala nam doznawać doświadczeń z pogranicza śmierci, czyli prawy płąt skroniowy.

Wszystko układało się w logiczną całość. Z jednej strony mamy fizyków teoretycznych, którzy od 50 lat starają się nam wyjaśnić, że nasz materialny świat



bazuje tak naprawdę na pulsujących, nieskończonych wzorach światła i energii. Z drugiej strony mamy mistyków, media i ludzi, którzy przeżyli doświadczenia z pogranicza śmierci, i wszyscy oni mówią, że widzieli przez moment wypełniony pełnym miłości światłem poziom rzeczywistości, na którym zawiera się wszelka wiedza, a czas i przestrzeń pozbawione są znaczenia. Prawy płąt skroniowy jest naszym łączem z nielokalną rzeczywistością albo, jak je nazywają dzieci, „prawdziwie prawdziwym” miejscem.

Nie tylko możemy przelotnie spojrzeć na tę ostateczną nielokalną rzeczywistość, ale dostarczone ostatnio przez naukę dowody wskazują, że nieustannie nawiązujemy z nią kontakt. Biolog ewolucyjny Rupert Sheldrake zasugerował, że nie jesteśmy w ogóle maszynami biologicznymi, ale opieramy się na kodujących nasze ciała i zachowanie wzorach energii, które istnieją w przyrodzie albo nielokalnej rzeczywistości. Wedle Sheldrake’a rozwój świadomego życia odzwierciedlał zmiany we wzorach energii, które stanowią podłoże zwierzęcych i ludzkich form. Wyjaśnia to luki ewolucyjne i raptowny rozwój, jak np. ten dotyczący karmienia piersią u ssaków, lub drastyczne zmiany w anatomii, jak rozwój dłoni i stóp. Naukowiec stwierdza, że to leżący u podłoża wzorzec rozwija się i zmienia, a zmiany te są następnie odzwierciedlone w budowie anatomicznej czy zachowaniu.

Podsumowując, najnowsze postępy w nauce wskazują, iż istnieje nielokalna rzeczywistość zawierająca program główny dla naszych ciał, zachowań i całkiem możliwe, że też naszych wspomnień. Jest niezależna od czasu i przestrzeni. Możemy wkroczyć do tej rzeczywistości poprzez biologiczną strukturę, z którą wszyscy przychodzimy na świat, czyli prawy płąt skroniowy.

I wreszcie docieramy do hipotezy naukowej głęboko zakorzenionej w głównym nurcie nauki, która wyjaśnia, w jaki sposób Sylvia Browne może komunikować się z ludźmi, którzy zmarli, lub też ułatwiać duchowe uzdrowienie. Jej prawy płąt skroniowy jest po prostu mocniej rozwinięty niż u większości z nas. Mógł to być wrodzony talent, tak samo jak u Carla Lewisa, który przyszedł na świat obdarzony niezwykle talentem atletycznym; lub też został wywołany i wspomagany był poprzez doświadczenie duchowe lub doświadczenie z pogranicza śmierci.

W obrębie rzeczywistości nielokalnej nie zanikają wzorce zmarłych. W obrębie tej rzeczywistości czas nie gra roli. Tak też oczywiście mogą oni do nas powrócić za pośrednictwem naszego prawego płata skroniowego i nawiązać z nami kontakt z zaświatów. Teoretycznie możliwe jest także skontaktowanie się z nimi.

Teraz możemy pojąć naukowe podstawy duchowego uzdrowienia. Gdy Sylvia wspomaga duchowe uzdrowienie, najprawdopodobniej kontaktuje się bezpośrednio z głównym, programującym daną osobę wzorcem. Możliwe jest, by błędy we wzorach naszych obecnych ciał zostały poprawione poprzez wejście do programu głównego za pośrednictwem prawego płata skroniowego. W swojej praktyce medycznej udokumentowałem przypadek niezwyklego uzdrowienia,

które dokonało się dzięki duchowej naprawie DNA dziecka. I w końcu doszedłem do naukowej hipotezy wyjaśniającej, jak dokładnie mogło się to stać.

Należy jednak pamiętać, że takie uzdrowienia zdarzają się nad wyraz rzadko. Jak to powiedziała mi jedna z matek, odnosząc się do modlitwy i duchowego uzdrowienia:

– Gdyby zależało to jedynie od siły woli i szczerzej modlitwy, ten oddział chorych na raka byłby już jutro puściuteńki.

Rozpaczający rodzice częstokroć pytają mnie o radę w kwestii odwiedzin medium. Odpowiadam im, że jestem neurologiem i badaczem doświadczeń z pogranicza śmierci. Jedyne medium, z którym miałem jakąkolwiek styczność, to Sylvia Browne. Znam wielu pogrążonych w rozpacz rodziców, którzy rozwiązali swoje problemy dzięki jej duchowym odczytom. Z całą pewnością pomogła mi w decydującym momencie mojego życia i jestem jej za to ogromnie wdzięczny.

Nie sądzę, by nauka mogła kiedykolwiek potwierdzić lub zanegować zdolności Sylvii Browne. Moje badania wskazują jedynie, iż nie istnieje konflikt pomiędzy wiarą w zdolności parapsychiczne a najbardziej aktualnym naukowym rozumieniem mechaniki wszechświata.

Ostatecznie jednak moje doświadczenie z Sylwią było doświadczeniem wiary. Bez problemu mógłbym zignorować informacje, które podała mi w swym psychicznym odczycie, lub też wyśmiać je i strywializować. Zamiast tego zawierzyłem swemu sercu, nie zaś kierującemu się logiką mózgowi naukowca. Nie powiedziała mi, co mam zrobić, a raczej napełniła odwagą, bym zrobił to, co uważałem za właściwe. Przeczytaj tę książkę i dowiedz się, jak zawierzyć własnej intuicji i wewnętrznemu głosowi.

# MAGIA I CUDA NA CO DZIEŃ:

## ODKRYWANIE I TWORZENIE RADOŚCI W WASZYM ŻYCIU

Magia i cuda otaczają nas dzień w dzień i wszyscy dysponujemy mocą, by je stworzyć. Jeśli minęło już dużo czasu, od kiedy ostatnio myśleliście o magii i cudach, lub jeśli przestaliście już w nie wierzyć, to głowa do góry. Nie odeszły, po prostu chwilowo straciliśmy je z oczu. Ponieważ magia i cuda przynoszą w naszym życiu radość, nadzieję i zapał, jesteśmy sobie winni, by na nowo je odnaleźć.

Tym, co oddzieliło nas od magii i cudów, jest jedynie typowy dla ludzkiej natury proces – jeśli widzimy coś zbyt często, zapominamy, jak jest wyjątkowe. Gdyby pewnego dnia wczesnym świtem na podwórku pojawił się jednorozec, poczulibyśmy, że spłynęło na nas błogosławieństwo. Gdyby całe stado jednorozców pojawiało się na podwórku codziennie rano o tej samej porze, najprawdopodobniej zadzwonilibyśmy do schroniska dla zwierząt, by je wyłapano, zanim zdążą zniszczyć trawnik. Ujrzenie transmisji na żywo z rozdzielania Morza Czerwonego sprawiłoby, że oniemielibyśmy z wrażenia. Gdybyśmy jednak oglądali to samo przez dwa czy trzy tygodnie pod rząd, to praktycznie mogę usłyszeć, jak z ziewnięciem sięgamy po pilota, by sprawdzić, co tam jeszcze jest w telewizji. Zatem nie chodzi o to, że magia i cuda zniknęły z naszego życia. Bo tak nie jest. Otaczają nas. Musimy tylko ponownie nawiązać z nimi łączność i przestać uznawać je za część wystroju.

Magię i cuda blokuje także mające destrukcyjny wpływ poczucie winy. Zgaduję, że 18 na 20 klientów, z którymi rozmawiam, ogarnia poczucie winy, które staje się potężniejszą siłą, jakimi magia i cuda mogłyby kiedykolwiek być. Musimy zatem odnieść się do winy i usunąć ją z drogi. Jeśli powiedzieliście lub zrobiliście coś, co kogoś zabiło, przyznajcie się, przyjmijcie odpowiedzialność za swoje czyny, przeproście i podejmijcie wysiłek, by temu zadośćuczynić (powiedzenie „przepraszam” pozbawione jest znaczenia, o ile nie robi się czegoś, by udowodnić, że naprawdę żałuje się swego zachowania). Jeśli powiedzieliście lub zrobiliście coś, co kogoś zraniło, i możecie z czystym sumieniem stwierdzić, że nie było to waszym zamiarem, przeproście i *zapomnijcie* o tym! Nie mówcie, że to nie takie proste. Jest, jeśli tylko przestaniecie trzymać się poczucia winy,

jak gdyby odgrywało w waszym życiu pozytywną rolę, i uznacie je wreszcie za marnowanie energii i wroga ducha, jakim w rzeczywistości jest.

Oczywiście w tym niedoskonałym życiu, jakie prowadziłam, musiałam boleśnie się o tym przekonać na własnej skórze. Idealną ilustracją jest śmierć mojego ojca. Uwielbialiśmy siebie nawzajem i w jego ostatnich dniach w zasadzie koczowałam przy jego łóżku. Ostatniego dnia opuściłam na krótką chwilę salę szpitalną, w której leżał, by rozprostować nogi i napić się wody. I podczas mojej nieobecności umarł. Mój żal związany z jego stratą pomieszany był z dręczącym poczuciem winy, że nie było mnie u jego boku, gdy umierał. Powinnam była przy nim zostać, a nie iść napić się wody. Czy to właśnie nie ja powinnam była tam być, trzymać go za rękę, gdy wyruszał w podróż do Domu? Ale w końcu byłam w stanie nabrać dystansu potrzebnego, by zadać *właściwe* pytanie: Czy gdy umierał, choć przez chwilę chciałam go opuścić? Oczywiście, że nie. I wtedy nauczyłam się raz na zawsze stawiać czoła swojemu poczuciu winy, tak samo, jak stawiałam czoła złym nawykom. Za każdym razem, gdy ten negatywny głos w mojej głowie zaczyna swoje „mogłam/powinnam była”, opanowuję się i sprawiam, że pozytywny głos w mojej głowie przerywa mu głośnym „Dość!”.

To prosta metoda, ale zdaje egzamin. Złóżcie sobie obietnicę, że w ciągu następnego tygodnia wypowiecie wojnę poczuciu winy. Jeśli sprawialiście ból celowo, zadośćuczynicie. Jeśli nie było to działanie celowe i obwiniacie się, wrzasknijcie bezgłośnie „Dość!” w chwili, gdy taka myśl pojawi się w waszym umyśle, póki nie będziecie już na tyle zmęczeni krzykiem, że nie pozwolicie nawet, by myśl o poczuciu winy miała choćby najmniejszą okazję się zakraść.

Możecie następnie skierować całą tę energię, jaką zużyliście na dręczenie się poczuciem winy, na nauczanie się miłości własnej – podstawowego elementu służącego zmaksymalizowaniu szans na pojawienie się magii i cudów w codziennym życiu. Nie kochać siebie to okazać brak szacunku jednemu z bożych dzieł. Oznacza, że zwątpiliście we własną moc, zanim nawet spróbowaliście jej użyć, i uwierzyliście, iż nie jesteście godni magii i cudów, jakie przygotował dla nas Bóg.

Od dzieciństwa byliście prawdopodobnie uczeni, że z miłością własną jest coś nie tak, że jest to zachowanie egoistyczne, nieatrakcyjne i powinniście się wstydić samej myśli o niej. Miłość własna nie oznacza stawiania siebie wyżej od innych. To *jest* egoistyczne i nieatrakcyjne. Nie promują świata pełnego ludzi, którym poprzewracało się w głowach. Miłość własna, by ująć to w najprostszych słowach, oznacza, że traktujecie siebie należycie i z szacunkiem. Otaczacie siebie ludźmi, którzy należycie was traktują i szanują was. Życie wedle zasad, które sami przekazalibyście swemu potomkowi lub najbliższemu przyjacielowi.

Najszybszym sposobem na ponowne odkrycie miłości do samej siebie, jaki odkryłam w tych trudnych chwilach, gdy straciłam poczucie miłości własnej, jest sporządzenie listy cech, jakie do mnie nie pasują. Odbywa się to prościej i w bardziej naturalny sposób, niż gdy przygotowuję sobie listę komplemen-



tów, ale ma taki sam, dodający pewności siebie efekt. Dla przykładu, *nie* jestem nieuczciwa, *nie* jestem złośliwa, *nie* jestem podła, *nie* jestem krytyczna, *nie* jestem tchórzem, *nie* jestem nieodpowiedzialnym rodzicem i babcią, *nie* jestem małostkowa itd. To, jacy nie jesteście, pozwala określić, jacy jesteście, i zwraca waszą uwagę na cechy, nad którymi chcielibyście popracować, tak by lista „nie” mogła się wydłużyć i tym samym mogła wydłużyć także listę „jestem”.

Zwracajcie także regularnie uwagę na coś, co nazywam determinizmem. To ten absurdalny grad domniemanych „faktów”, jakie są nam wmawiane szczególnie w młodości, a które nas ograniczają, i jeśli nie zachowamy ostrożności, niesprawiedliwie określają z góry, kim jesteście. Pozwolę sobie podzielić się z wami kilkoma ulubionymi, by pokazać, co mam na myśli:

- „Nie masz pojęcia o urządzeniach mechanicznych”.
- „Oczywiście, że jesteś gruby, to u nas rodzinne”.
- „Nigdy sobie nie radziłeś z zarządzaniem pieniędzmi”.
- „Więc twoje małżeństwo jest nieszczęśliwe. Nie narzekaj, ciesz się, że kogoś znalazłeś”.
- „Nie dziwi mnie, że często chorujesz. Byłeś chorowitym dzieckiem”.
- Jedna z mantr mojej matki: „Pogódź się z tym, Sylvio, to twoja siostra, Sharon, ma urodę, ty masz osobowość”.
- Mojej przyjaciółce ktoś powiedział, że może sobie dać spokój z marzeniem o długich włosach, bo one po prostu nie urosną.
- Mężczyzna, którego znam, całe życie zmagał się z niską samooceną po tym, jak ojciec nie zgodził się, by spróbował swoich sił w Małej Lidze, ponieważ „żaden z niego atleta”.
- Kobieta, z którą kiedyś pracowałam, ubierała się na czerwono, mimo że, szczerze mówiąc, okropnie wyglądała w tym kolorze. Znalazłam wreszcie dyskretny sposób wypymania ją o powód takiego zachowania. Powiedziała, że tak naprawdę to nienawidzi czerwonego i od lat ma go dość, ale powiedziano jej w dzieciństwie, że jest jej w nim do twarzy.

Sporządźcie listę. Spiszcie na niej każde determinujące słowo, jakim obdarzyli was inni ludzie. Następnie podrzyjcie listę i wyrzucie ją do śmieci, tam, gdzie jest jej miejsce.

Wy *sami* decydujecie, kim jesteście. Wy *sami* decydujecie, co potraficie, a czego nie, w czym wyglądacie dobrze, a w czym wręcz przeciwnie, gdzie chcecie lub nie chcecie żyć, jakie są, a jakie nie są wasze priorytety, w co wierzycie bądź nie i jakie naprawdę są wasze ograniczenia. Wszyscy mamy pewne ograniczenia i poniesiecie porażkę, jeśli nie będziecie mieć do nich realistycznego podejścia. Ale, powtarzam ponownie, to *wy* macie je zdefiniować, nie ktokolwiek inny. Mierzę 1,55 m wzrostu, więc idiotyzmem z mojej strony byłoby upierać się

przy zawodzie dżokeja. W ogóle nie mam pamięci do melodii – to nie determinizm, tylko fakt – po co więc narażać się na nieustanne odrzucanie mojej osoby podczas przesłuchań do opery? Chodzi mi o to, że to ja stwierdzam, że nie zostanę śpiewaczką operową, nikt inny o tym nie decyduje. Nie chciałabym także przejść przez życie, czując się jak niedojda, gdyby moi rodzice byli nastawieni na zrobienie ze mnie śpiewaczki operowej. Arbitralne oczekiwania to inna postać determinizmu i w równym stopniu są nie do przyjęcia.

## AFIRMACJA

Jedną z najważniejszych metod do wyeliminowania niepewności i ustanowienia nawyku miłości własnej jest skorzystanie z afirmacji. Znajdują one wyraz, gdy szczerze mówimy, czego pragniemy i kim chcemy się stać jako ukochane dziecię Boże, i powtarzamy te słowa wciąż i wciąż na nowo, póki nasza podświadomość nie zaakceptuje ich jako faktu – tak, że nasze zachowanie zmieni się adekwatnie. Poprzez afirmację możemy sprawić, że staniemy się zdrowsi, silniejsi, pozytywniej nastawieni, piękniejsi, przystojniejsi, miłsi, cierpliwszi, pewniejsi siebie, odważniejsi – zyskamy wszystkie te cechy, które pozwolą nam mocniej siebie kochać.

Religia i literatura dostarczają nam wielu pięknych afirmacji, a niektóre z nich odnajdziecie w aneksie na końcu książki. Ale proszę, nie obawiajcie się wymyślać własnych, jeśli – podobnie jak ja – gdy coś zapamiętujecie i często recytujecie, nieważne, jak pięknie i jak prawdziwie by to było napisane, powtarzanie może się stać tak automatyczne, że tekst traci swoje znaczenie. Niechętnie się do tego przyznaję, ale nie mogę całkowicie szczerze powiedzieć, że nigdy nie pochyliłam głowy i nie recytowałam Modlitwy Pańskiej, nie zastanawiając się jednocześnie, gdzie kobieta siedząca obok mnie kupiła buty. Zatem proszę bardzo, nauczcie się i wykorzystajcie każdą afirmację, która rozbrzmiewa w waszej duszy. Ale wasze własne afirmacje wypowiedane na głos lub cicho z głębi serca także zdadzą egzamin, tak samo jak wszelkie inne, jakie zostały kiedykolwiek zapisane.

Jeśli zastanawiacie się, jak wymyślić własne afirmacje, pomyślcie o determinizmie i „negatywnych afirmacjach”, które zostały przez was zaakceptowane jako prawdziwe. Uwierzycie w nie, ponieważ często je słyszeliście, czyż nie? Cóż, możecie nauczyć się wierzyć w coś przeciwnego, jeśli będziecie słyszeć to równie często, i jest to moment, gdy na scenę wkraczają afirmacje. W taki sam sposób, jak możecie odkryć, kim jesteście, dochodząc najpierw do tego, kim nie jesteście, wasze pierwsze afirmacje mogą być kontratakiem wymierzonym we wszystko, co negatywne w waszym wyobrażeniu o sobie, bez względu na źródło tej negatywności.



Zacznijmy od *was*. *Nigdy*, nawet w żartach, nie poniżajcie siebie. Ogłoście wszem i wobec, że jest to całkowicie zabronione. Żadnych więcej „Jestem głupi”. Żadnych „Jestem gruba”. Żadnych „Jestem niezdarny”, „Jestem brzydki”, „Jestem za niski” czy „Jestem za wysoki” ani „Nie potrafię” w jakiegokolwiek odmiennie. Zamieniajcie je sto razy dziennie na „Znam się na wielu rzeczach”, „Mogę mieć takie ciało, jakie tylko zechcę”, „Jestem pełna wdzięku”, „Jestem atrakcyjny”, a zwłaszcza – „*potrafię!*”.

Co się tyczy ludzi *was* otaczających, to jeśli w jakiś sposób *was* poniżają lub podkopują miłość własną, to kontakt z nimi także jest zabroniony, chyba że poprawią swoje zachowanie. To prosta zasada – obraźliwe słowa i zachowanie są nie do zaakceptowania. Przebywanie w towarzystwie kogoś, kto sprawia, że źle się czujecie we własnej skórze, wywołuje większe szkody psychiczne, niż możecie sobie wyobrazić. Nie zapominajcie, że wszyscy tutaj przybyliśmy uczyć się, jak pokonać negatywność, nie zaś akceptować ją, zapraszać do domu i „gotować dla niej obiadek”.

Pamiętajcie srogie „Dość!”, które wykrzykują do siebie, gdy zaczynam wpadać w pułapkę poczucia winy? Chcę, byście wykrzyknęli takie bezgłośne „Dość!” za każdym razem, gdy ktoś będzie *was* obrażał. I cokolwiek zrobicie, nie brońcie się i nie wyklócajcie o obrazę. Nie ma głupszego sporu jak ten, gdzie przekrzykujecie się w kwestii tego, czy jesteście głupi, grubi albo brzydki. Nie jesteście tacy, więc, na Boga, czemu dać się wciągać w spór *was* nie dotyczący? Zastanówcie się nad następującym przykładem. Gdyby ktoś podszedł do *was* i powiedział: „Jesteś żyrafą!”, czy tracilibyście choćby sekundę swojego czasu, starając się go przekonać, że wcale żyrafą nie jesteście? Nie, odparlibyście: „To niedorzeczne” i odeszli (po czym, żywiąc taką nadzieję, zdrowo byście się zastanowili, czemu zadawać się z kimś, kto uznaje *was* za żyrafę). Zatem poza bezgłośnym „Dość!”, które będziecie wykrzykiwać, słysząc każdą obelgę, chcę też, byście dodali bezgłośnie lub na głos: „To niedorzeczne” i odeszli.

Co ważniejsze, niech waszym nawykiem stanie się neutralizowanie kierowanej do *was* obelgi – w słowie czy czynie – za pomocą afirmacji, wciąż i wciąż na nowo, aż afirmacja stanie się bardziej przekonująca niż cokolwiek negatywnego, co słyszycie na *wasz* temat. Spróbujcie przez trzy krótkie miesiące zamieniać obelgi i negatywność w afirmację, a będziecie zdumieni stworzoną przez siebie otwartością na magię i cuda.

Istnieje logiczny, choć często niezauważany powód, dla którego afirmacje zdają egzamin: są sposobem na bezpośrednią komunikację z umysłem ducha, ten zaś, dzięki swojej odwiecznej wiedzy i mądrości, *zawsze rozpoznaje prawdę i prawdę rozbrzmiewa*. Skąd wiemy, że afirmacje są prawdą? Bowiernie nieważne, jakie szczegóły w nich ujmujemy i jakich słów dokładnie użyjemy, afirmacje są potwierdzeniem naszej uświęconej wartości jako dzieci Bożych. Są niezbędnym do życia pokarmem umysłu i ducha i natychmiastowym, magicznym i cu-



downym sposobem, by obdarzyć Boga wewnątrz nas uśmiechem i poczuć, jak On uśmiech ten odwzajemnia.

## LISTY DO WSZECHŚWIATA

Skuteczny sposób, by wzmocnić siłę swoich afirmacji i najgłębiej skrywanych pragnień, to spisać je w formie Listów do Wszechświata. Zaadresujcie je do Boga, do wszechświata, do swojego przewodnika duchowego, do swoich aniołów – do kogokolwiek, kto sprawia, że czujecie się silnie związani ze swoją boską mocą. Umieście w swoim liście wiele afirmacji, by przypomnieć sobie, jak wartościową jesteście osobą i że obdarzono was największym błogosławieństwem, jakie może zaoferować życie. Nie ma potrzeby przypominać o tym Bogu, który wie, że jesteście godni, i tylko czeka, aż *sami* do tego dojdziecie. Następnie opiszcie szczegółowo, czego naprawdę pragniecie (ktokolwiek powiedział: „Uważaj, o co prosisz, bo możesz to dostać”, wiedział, o czym mówi). Upewnijcie się, że wasze listy zawierają pragnienia fizyczne, emocjonalne i duchowe, ponieważ równowaga tych trzech sfer daje w efekcie najbardziej udane życie. Pisząc je, zobowiążcie się, że dołożycie starań, by te pragnienia zrealizować. Bóg pomaga tym, którzy potrafią o siebie zadbać, i nikt nie podtyka nam niczego pod nos, podczas gdy rozkładamy się wygodnie na kanapie. Gdy już skończycie pisać, złożcie kopię listu w bezpiecznym, nieuczęszczanym miejscu i spalcie oryginał. Nie, nie po to, by popiół mógł wzlecieć do Boga, który odczyta list, ale by wzmocnić energię swojego Listu do Wszechświata potężną energią ognia. Co się zaś tyczy kopii, to niech minie pół roku, zanim ponownie po nią sięgniecie. W najgorszym wypadku odkryjecie kilka niespodzianek, włączając w to szansę na to, że wasz kolejny list będzie zawierał parę zmian. Ale możecie także odkryć, że w przeciągu tych kilku ostatnich miesięcy wspólnie z idealnym bożym wszechświatem tworzyliście magię i cuda.

Tak przy okazji, to energia ognia jest jednym z powodów, dla których lubię świece. Radzę, byście mieli ich wiele wokół siebie i często ich używali, szczególnie podczas afirmacji i pisania Listów do Wszechświata. Nie ma na świecie świecy, która dysponowałaby własną mocą. Ale rytuał jej zapalania posiada własną moc wynikającą z wieczności, a energia zapalanej świecy pomoże wam skoncentrować swoją moc i energię. Jest jeszcze dodatkowa korzyść, jakiej możecie nie być świadomi – mieszkańcy świata duchów nie widzą sztucznego oświetlenia, ale *mogą* zobaczyć zapalone świece, które przyciągają ich jak, wybaczcie porównanie, płomień ćmę.

Jeden z moich ulubionych rytuałów ze świecami, i jednocześnie jeden z najpotężniejszych, polega na tym, by usiąść na podłodze w środku koła lub krzyża utworzonego ze świec – z jedną świecą u moich stóp, jedną za mną, jedną po lewej stronie i jedną po prawej – i osiągnąć stan całkowitego odprężenia czy

też medytacji. Wyobrażam sobie białe światło Ducha Świętego rozpalające mój splot słoneczny (znajduje się na wysokości żołądka, tuż pod mostkiem) i przeświecające przeze mnie, i łączące się z Okręgiem Światła wokół mnie. Pozwalam, by Duch Święty płonął w moim ciele, oczyszczając i lecząc je oraz niszcząc wszelką negatywność i wątpliwości leżące na ścieżce jego boskiego białego ognia. Powtarzajcie to proste ćwiczenie Okręgu Światła na początku każdego tygodnia, a obiecuję wam, że wraz z kolejnymi ćwiczeniami poczujecie po jego wykonaniu gwałtowny wzrost energii, po którym będziecie odnowieni, pełni energii, niekiedy całkiem dosłownie uleczeni.

## TWORZENIE CUDÓW

Naprawdę wszyscy posiadamy moc uleczenia.

Na początek jednak kilka słów przestrogi. Proszę, nie myślcie nigdy, że choroba czy śmierć jest bożą karą albo że jeśli nie udało wam się uleczyć siebie lub bliskiej osoby, to w jakiś sposób zawiedliście. Bóg nigdy nie karze. Choroba i śmierć zawierają się w planach życia. Jak dowiecie się z późniejszego omówienia planów, możemy nie tylko wybrać w dowolnym momencie, czy chcemy zmodyfikować chorobę i śmierć, które nanieśliśmy na plan, ale mamy także wybór w postaci pięciu „zjazdów”, czyli momentów, gdy możemy opuścić Ziemię. Decyzjom, jakie podejmowaliśmy, pisząc nasze plany, przyświeca wyższy cel, którego możemy obecnie nie pojmować, ale kiedyś był dla nas jasny i będzie jasny, gdy powrócimy do Domu po Drugiej Stronie.

Kombinacja trzech elementów – modlitwy, wiary i afirmacji – połączona z wolą zamierzonego odbiorcy może zaowocować cudem. A oto przykład.

W wieku 43 lat, po poważnej operacji, dotarłam do swojego trzeciego „zjazdu”. Odnoszę się do tego jako do doświadczenia z pogranicza śmierci, ale pod względem fizjologicznym umarłam – moje serce przestało bić, temperatura ciała zaczęła gwałtownie spadać, a EKG pokazywało całkowicie płaską linię. A jednak wokół mnie ludzie, którym, jak i mnie samej, wiary nigdy nie brakowało, modlili się w mojej intencji. Wyraźnie pamiętam, iż byłam w tunelu prowadzącym prosto ku pięknemu, białemu Bożemu światłu i byłam szczerze zachwycona perspektywą dotarcia tam, gdy nagle głos kobiety przy moim szpitalnym łóżku wypełnił mojego ducha:

– Sylvio, proszę, nie możesz odejść, jesteś tak bardzo potrzebna.

Afirmacja. Mimo że chciałam kontynuować podróż ku światłu Doskonałej Miłości, to jednak wiedziałam, że głos mówił prawdę. Zbyt wiele miałam jeszcze do zrobienia i nie służyłoby większemu dobru, gdybym skorzystała z okazji, by się wymknąć. Gdy tylko podjęłam decyzję, pomimo że nie byłam nią zachwycona, powróciłam. Mój lekarz dr Jonathan Kelly potwierdził później, że moja fizjologiczna

reakcja na słowa: „Jesteś tak bardzo potrzebna”, była natychmiastowa. Moje serce wznowiło pracę, monitory na nowo zaczęły wydawać dźwięki, a temperatura mojego ciała zaczęła powoli, ale pewnie wzrastać do normalnego poziomu.

Modlitwa, wiara i afirmacja. To był cud, nie ma co do tego wątpliwości. Dąsałam się z tego powodu tygodniami, ale z całą pewnością był to cud – i całkowicie osobista decyzja Boga i moja, której katalizatorem stała się moja wola wysłuchania i odpowiedzenia na głos przypominający mi, że jeszcze *tutaj* nie skończyłam.

Być może oglądaliście wyemitowany kilka lat temu odcinek programu *Montel Williams*, w którym zdiagnozowana przez dwóch lekarzy kobieta z nieuleczalną chorobą zapytała mnie, ile jeszcze zostało jej czasu. Wciąż pamiętam, jak patrząc jej w oczy i *wiedząc*, że to, co powiem, jest prawdą, odparłam: „Nie umierasz”. Zawsze walę prosto z mostu i nigdy nie mówię ludziom tego, co chcą usłyszeć, by przez minutę czy dwie poczuli się lepiej. Gdy w tamtej chwili odwzajemniła moje spojrzenie, oczywistym było, że mi wierzyła. Pozwoliła, by moja energia zawładnęła jej własną na wystarczająco długo, by ta afirmacja przeniknęła do jej ducha i ogarnęła go. Wciąż do mnie pisze, uleczona i zdrowa.

Modlitwa, wiara i afirmacja. Kolejny cud. Nie cud będący moim dziełem, ale decyzja, jaką sama, będąc otwartą na Boga, podjęła, decyzja, że jeszcze nie skończyła tutaj swoich spraw.

Przeciwieństwo tego działa równie niezawodnie, wierzcie mi. Pracowałam z niejednym klientem, którego choroba, czego byłam pewna, wcale nie musiała być nieuleczalna. Ale gdy im o tym powiedziałam, oni bynajmniej nie chcieli, abym wyperswadowała im umieranie. Nie ma takiej afirmacji, która powstrzymałaby poważną chorobę czy śmierć u osoby, która podjęła już wraz z Bogiem decyzję i nie chce, z sobie tylko znanych powodów, zmienić zdania.

Włóżcie swój wysiłek w modlitwę, wiarę i afirmację, które stworzą cuda dla waszych bliskich. Przypominam jednak po raz kolejny, że nie istnieje coś takiego jak porażka. Posiadacie moc, by interweniować – tak jak to zrobiła w moim przypadku kobieta przy moim szpitalnym łóżku i ja w programie Montela – ale bliska ci osoba i Bóg także mają swoje własne zamiary. Tak czy inaczej, nie ma czegoś takiego jak zmarnowane modlitwy, zmarnowana wiara czy afirmacja. Co mogłoby być wspanialszym pożegnaniem lub czy sami możemy liczyć na lepsze? Narodziny „nowego” ducha witamy świętowaniem i dobrymi życzeniami. Czemu nie świętować także, gdy ten sam duch powraca do Domu?

## DÉJÀ VU

Co jednak z bardziej zwyczajnymi cudami? Gdy tylko przestaniemy zaśmiecąć swoje umysły poczuciem winy i determinizmem i zastąpimy je miłością własną oraz mocą afirmacji i wiary, nasze serca będą bardziej otwarte niż kiedykolwiek



wcześniej na magię w otaczającym nas świecie. Jak „codzienne jednorożce” czy „cotygodniowe rozdzielanie wód Morza Czerwonego”, niewyjaśnione zjawiska są tak powszechne, że nie zauważamy już, jak bardzo są wyjątkowe, a może i od samego początku nie rozumieliśmy ich prawdziwej natury. Przykładowo czymś, czego wszyscy od czasu do czasu doświadczamy, jest *déjà vu*. Jeśli bierzemy *déjà vu* za przyjemne, chwilowe zakłócenie pracy umysłu, nie wydaje się już takie magiczne. Ale jeśli rozpoznajemy je takim, jakim jest – rzutem oka na Drugą Stronę – nabiera zupełnie nowego znaczenia.

Istnieją dwa rodzaje *déjà vu*. Pierwsze zachodzi, gdy odwiedzacie konkretny dom, miasto, ulicę, obcy kraj lub też inne miejsce, w którym nigdy wcześniej nie byliście, i nagle zdajecie sobie sprawę, że wygląda znajomo. Niekiedy odkrywacie, że znacie topografię tego miejsca. Najbardziej rzuciło mi się to w oczy podczas mojej pierwszej wycieczki do Kenii w roku 1980. Informowałam mojego przewodnika, gdzie znajdowały się geograficzne atrakcje, nim on mógł mi to powiedzieć, i wiedziałam, że nie ma to nic wspólnego z byciem medium. Za to wszystko odpowiadają wspomnienia naszych duchów z poprzednich żyć. My tam już wcześniej *byliśmy*; tyle że w innym ciele, w innym czasie. Duchowa pamięć jest zwykle głęboko zagrzebana w podświadomości, tak że momenty, gdy wyłania się w świadomości, są nie tylko magiczne, ale stanowią także potężne, cudowne przebłyski, świadczące o wieczności naszych dusz.

*Déjà vu* odnosi się także do ludzi. Wszyscy znamy ludzi, którzy wydali nam się znajomi w chwili, gdy ich poznaliśmy; nieznanym, których wydaje się, że znamy całe życie. Szczerze mówiąc, to zapewne nie znamy ich całe życie. Ale jestem przekonana, że jeśli dobrze się przyjrzyjecie wszystkim tym, którzy w jakiś sposób wpłynęli na wasze życie, i zadacie sobie proste pytanie: „Czy ja aby nie znam tej osoby?”, zdziwi was, z jaką łatwością odpowiecie twierdząco bądź przecząco. Tak przy okazji, nie zakładajcie, że związek z kimś w poprzednim życiu obliguje was do takiego związku i w tym. Wtedy mogli być zmorą waszego poprzedniego wcielenia. Albo też ostatnim razem byli dość miłymi osobami, ale zdecydowali, że tym razem powrócą jako kompletne cymbały. Nie musicie opierać się w swoim postępowaniu na pamięci o znajomościach z poprzedniego życia. Ale gdy mają miejsce, zwracajcie tylko na nie uwagę i uznawajcie za kolejne okno zapewniające wgląd w swoją wieczność.

Niektóre ze związków z poprzednich żyć, gdy najmniej się ich spodziewamy czy pożądamy, prześlizgują się wręcz bocznym wejściem. Jedną z moich klientek, Margaret, dotarła do mojego biura pewnego deszczowego popołudnia zmartwiona i niezdolna pozbyć się wrażenia, że jej podła, apodyktyczna i niedawno zmarła teściowa nadal gdzieś się w okolicy kręci, starając się suszyć jej głowę z za grobu. Gdy przybyła, jej teściowa była z nią, ale nie zrzędząc, a stara-

jąc się przeprosić za wszelkie kłopoty i ból, jaki przez te wszystkie lata sprawiła Margaret. Dopiero gdy teściowa dotarła na Drugą Stronę, zdała sobie sprawę z faktu, o czym postanowiła poinformować Margaret, że w poprzednim życiu były siostrami i nigdy nie rozwiązały owocującej nieustannym współzawodnictwem kwestii zazdrości, którą czuły względem siebie w trakcie tamtego życia. Dzięki przeprosinom i zrozumieniu łączącego ich w poprzednim życiu związku Margaret była w stanie wreszcie przebaczyć swojej teściowej i odnaleźć raz na zawsze ukojenie.

Drugi typ *déjà vu* jest tak rozpowszechniony, subtelny i na pozór trywialny, że rzadko kiedy poświęcamy mu choćby przelotną myśl. Jest to moment, w którym każdy detal, poczynając od tego, co robicie, z kim, w jakim otoczeniu, co na sobie macie, co myślicie i czujecie, jest tak znajomy, iż jesteście pewni, że przeżywacie po raz wtóry dokładną kopię chwil ze swojej przeszłości. Nigdy nie trwa to dłużej niż kilka sekund i nigdy nie jest to znaczące zdarzenie. To raczej coś w stylu: „Kiedyś już tak siedziałem tutaj, oglądając telewizję, sięgając po szklankę wody, która stała w tym samym miejscu na nocnym stoliku...”. Gdy tylko je zauważymy, za każdym razem znika. Nie dziwi zatem fakt, iż nie pojmujemy, jak zdumiewające są te chwile *déjà vu*. By je w pełni pojąć, musimy więcej dowiedzieć się o planach.

Jak już mówiliśmy, nim nasze duchy wkroczą do łona, z którego się ponownie narodzą, przygotowujemy z Bożą pomocą mapę czy też plan życia, które chcemy przeżyć. Plan ten zawiera zarysy nowego życia, możemy jednak zmieniać szczegóły naszych map w trakcie jego trwania. Jeśli, przykładowo, wasza mapa zawiera informację, iż w wieku 32 lat czeka was wypadek samochodowy, możecie to zmodyfikować tak, że będzie to stłuczka, a nie wypadek śmiertelny. Jeśli wedle mapy w wieku 15 lat macie „chorować”, to posiadacie potrzebną moc, by zdecydować, czy będzie to przeziębienie, czy zapalenie płuc. Lub też wasza mapa wskazuje, że zostaniecie „uzdrowicielem”, i to was pociąga, ale nienawidziliście uczelni medycznej i zostaliście z niej wyrzuceni. Nie oznacza to, że nie powiodło wam się podążanie za pasją. Na świecie istnieją wszelkiego rodzaju „uzdrowiciele”, od pracowników socjalnych poczynając, przez ludzi pomagających uporać się z bólem i żalobą, masażystów, księży, rabinów, strażaków i członków innych służb ratunkowych, kończąc na po prostu dobrych przyjaciółach i członkach rodziny, którzy są pełnymi współczucia słuchaczami dysponującymi talentem uleczenia trudnych sytuacji emocjonalnych. Nasze plany pozostawiają nam dużą swobodę, więc proszę, nie wyobrażajcie sobie swojej mapy jako wąskiej ścieżki z minimalną liczbą wyborów po drodze. Przeciwnie, jest to droga równie szeroka i dająca tyle możliwości, ile, z Bożą pomocą, możecie sobie tylko wyobrazić.

Na swoich planach ujmujemy także kilka drogowskazów, tak byśmy wiedzieli, że poruszamy się wedle naszego planu. Co jakiś czas ukazują się nam

one pod postacią *déjà vu*. Ponieważ uczucie rozpoznania czegoś znajomego uderza w nas niepohamowaną falą, to logicznie zakładamy, że w jakiś sposób powielamy moment, który już w tym życiu przeżyliśmy. Ale tak nie jest. Doświadczamy spotkania z drobnym drogowskazem z planu, który stworzyliśmy po Drugiej Stronie, nim jeszcze się narodziliśmy. Przy okazji takiego *déjà vu* nasz duch rozbrzmiewa myślą: „Pamiętam mapę, którą napisałem”, tak że odbija się to echem od naszej podświadomości, schronienia umysłu ducha, do świadomości. Przez tę krótką chwilę tak nasz podświadomy, jak i świadomy umysł otrzymują potwierdzenie faktu, iż poruszamy się w zgodzie z naszym planem. A nawet więcej, mignie nam przed oczami wieczność naszego życia po Drugiej Stronie, ponieważ nasz duch pamięta nasz dom i pragnie do niego wrócić. Innymi słowy, *déjà vu* jest nie tylko magiczne, ale może być także ulotnym stanem błogości.

## ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Takie same magiczne, cudowne, błogie, przelotne spojrzenia na drogowskazy na naszych mapach pojawiają się także w innej, bardzo powszechnej postaci, a dodatkową korzyścią jest fakt, iż nie tylko je pamiętamy, ale i wiemy, że nadciągają. Ponieważ jednak nie rozumiemy ich znaczenia, rzadko kiedy poświęcamy im chwilę zastanowienia – w końcu to tylko „zbiegi okoliczności”.

Myśleliście o kimś bez widocznego powodu i nagle wpadacie na niego po raz pierwszy od dłuższego czasu. Słyszycie o filmie czy książce i nagle mówią o nich wszyscy wokół. Planujecie wycieczkę do Anglii i zewsząd nadchodzą informacje o Anglii, luźne komentarze na temat Anglii, pojawiają się ludzie, którzy dopiero co z Anglii wrócili, i sprzedawcy, kasjerzy w banku i telefoniści z brytyjskim akcentem. Na wystawie psów w Westminster zobaczyłam bajecznego psa rasy, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam ani o jakiej nie słyszałam. Dowiedziałam się, iż jest to rasa zwana *bichon frise*, i zdecydowałam, że nie mogę żyć bez takiego psiaka. I nagle nie mogę przejść trzech przecznic, nie spotykając na swojej drodze dwóch czy trzech biszonów wyprowadzanych na spacer przez swoich właścicieli.

Z całą pewnością doświadczyliście wystarczającej liczby zbiegów okoliczności, by wiedzieć, jak wyglądają. Dopada was jakaś myśl i raczej prędzej niż później na waszych oczach staje się ona rzeczywistością. Lub, by przedstawić to dokładniej, przewidujecie pojawienie się małego drogowskazu na swoim planie na chwilę, nim ten drogowskaz się pojawia – i jest to kolejny powód do świętowania faktu, iż podążacie ścieżką, jaką sobie wyznaczycie na to życie, i jeszcze jedno namacalne połączenie pomiędzy wami a boską wiecznością, jaką nas wszystkich obdarzył Bóg.

# ŻYCIE PO ŻYCIU:

## JAK ODKRYĆ SWOJE POPRZEDNIE WCIELENIENIA

Wiem z absolutną pewnością, przeżywamy na tej Ziemi wiele żywotów. Im więcej rozumiemy na temat poprzednich żyć, tym większy sens mają te obecne. Rozumienie naszych poprzednich żyć jest wartościowym kluczem do zrozumienia, iż śmierć nie jest końcem, a kolejnym przejściem w nieustannej, wiecznej podróży naszych duchów.

Moje katolicko-judaistyczno-luterańsko-episkopalne wychowanie nieumyślnie położyło fundamenty pod moją wiarę w reinkarnację. Szczerze mówiąc, pomysł otrzymania tylko jednego podejścia do czegoś równie skomplikowanego, jak życie, nigdy nie miał dla mnie większego sensu. Jakim sposobem kochający Bóg mógł osądzić nasze sukcesy w jednym krótkim życiu i na tej podstawie podjąć decyzję, czy mamy spędzić wieczność w niebie, czy piekle? Mam także skora do rozmowy, stojącą u mojego boku, od kiedy miałam osiem lat, przewodniczkę duchową, imieniem Francine, która opowiada mi o moich poprzednich żywotach i Drugiej Stronie. Wyjaśniła, że nasze duchy to ni mniej, ni więcej jak energia w czystej postaci, a energii nie można zniszczyć, więc, co oczywiste, nie można także zniszczyć naszych duchów. Miało to dla mnie sens, ponieważ prędzej czy później, tak jak w tym przypadku, akceptujemy prawdę.

Rzeczywiste istnienie reinkarnacji i poprzednich żyć znalazło się w centrum mojej uwagi pewnego zimnego, deszczowego popołudnia prawie 40 lat temu. Do tego czasu stałam się mistrzynią hipnozy i znajdowałam się w swoim biurze, odbywając sesję z klientem, który oczekiwał, że pomogę mu w jego problemie z nadwagą. Nagle, całkowicie bez ostrzeżenia, odbiło mu. Zaczął mówić o Egipcie i budowie piramid w czasie teraźniejszym, zupełnie jakby odwiedził mnie w czasie przerwy na lunch w budowie piramidy. Następnie oddał się bez pamięci żarliwej rozprawie w jakimś niezrozumiałym języku, którego nie mogłam zrozumieć. Moje doświadczenie w dziedzinie hipnoterapii nauczyło mnie, że jeśli pacjent doświadcza jakiegokolwiek rodzaju epizodu psychotycznego, to przeszkodzenie mu lub próba nagłego powstrzymania mogą być niebezpieczne w skutkach. Zatem pozwoliłam mu kontynuować i wciąż do niego przemawiałam łagodnym głosem, upewniając się, że nie naprowadzam w jakikolwiek spo-

sób jego myśli na określone tematy. Po mniej więcej pół godzinie, równie nagle, jak mu „odbiło”, tak i „powrócił”, stając się ponownie nieśmiałym, przyjemnym człowiekiem, który przyszedł do mojego biura.

Jak każdy inny hipnotyzer w tamtym czasie czytałam o przypadku Bridey Murphy. W roku 1952 kobieta Virginia Tighe, będąc zahipnotyzowana, zaczęła mówić z silnym irlandzkim akcentem i przedstawiła się jako Bridey Murphy, kobieta z XIX-wiecznej Irlandii. W trakcie kilku nagrywanych sesji z hipnotyzerem Moreyem Bernsteinem, Virginia Tighe w osobie Bridey Murphy śpiewała irlandzkie piosenki, opowiadała irlandzkie historie i podawała skomplikowane szczegóły dotyczące jej życia w Cork 100 lat wcześniej. Nagrania te zostały w końcu sprzedane i przetłumaczone na ponad tuzin języków, a książka Bernsteina *In search of Bridey Murphy* wylądowała na szczytach list sprzedaży.

Nie jestem pewna, jak silnie utkwiała mi w pamięci sprawa Bridey Murphy, gdy zakończyła się sesja. Jestem tylko pewna, że w żadnym momencie w najmniejszym stopniu nie naprowadzałam mojego klienta ani nie podsuwałam sugestii, które mogły nakłonić go do mówienia obcymi językami albo do przyjęcia tożsamości egipskiego budowniczego piramid. Jestem także pewna, że gdy za zgodą mojego klienta posłałam nagranie z naszej sesji do znajomego profesora w Stanford, nie wspomniałam nawet słowem, co też znajduje się na taśmie. Poprosiłam go tylko, by jej wysłuchał i powiedział mi, co o niej myśli.

Profesor zadzwonił do mnie trzy dni później i już w pierwszej chwili, ledwo podniosłam słuchawkę, mogłam usłyszeć w jego głosie podniecenie. Nie zadał sobie nawet trudu, by się przywitać, od razu zapytał.

– Skąd wzięłaś tę taśmę?!

– A czemu pytasz? – odparłam, nadal nie chcąc wpłynąć na jego reakcję.

Okazało się, że przez ostatnie trzy dni wsłuchiwał się w zapis na taśmie, badał ją i odtwarzał swoim kolegom, którzy potwierdzili jego pełne zdumienia wnioski. Klient, który dla mnie „niezrozumiale głądził”, płynnie mówił mało znanym, starożytnym (używany w siódmym wieku przed Chrystusem) asyryjskim dialektem, składającym się ze słownych obrazów przypominających mówioną wersję pisma klinowego.

Nie trzeba chyba mówić, że wykonałam szybko telefon do swojego klienta. Nie trzeba też wspominać, że zareagował tak samo, jak zrobiłabym to ja czy wy, gdyby ktoś znieacka zapytał: „Nie władasz przypadkiem starożytnym asyryjskim?”. Nie miał pojęcia, o czym mówię.

Pod względem duchowym byłam już przekonana, że reinkarnacja istnieje. Ta sesja hipnotyczna zaostrzyła mój apetyt, by zamienić wiarę w działanie. Porozumiałam się ze znajomym hipnotyzerem z założonej przeze mnie w roku 1974 Fundacji Badań Parapsychofizycznych Nirwana oraz ze znajomymi lekarzami ze społeczności psychiatrycznej i podsunęłam myśl, byśmy zbadali i wykorzy-



stali zaakceptowaną klinicznie regresję reinkarnacyjną podczas przyszłych sesji hipnotycznych, oczywiście za pełną wiedzą i zgodą naszych klientów, oraz drobiazgowo utrwalali każdy dowód reinkarnacji, jaki się pojawi – o ile się pojawi.

Od tamtego czasu dokonałam poprzez hipnozę niezliczonej liczby regresji reinkarnacyjnych, podobnie jak i moi koledzy. Nigdy nawet mimochodem nie zaszczepliłam sugestii ani nie zadałam naprowadzających klienta pytań, ale zawsze pozwalałam, by to on dostarczał 100% informacji. Powiedzieć, że rezultaty były w zdecydowany sposób rozstrzygające, byłoby niedopowiedzeniem. Wspomnienia dotyczące naszych poprzednich żyć zawarte są ze wszystkimi oszałamiającymi detalami w duchowym umyśle podświadomości, czekając tam tylko, aż zostaną uwolnione i wyrażone. W swoich archiwach posiadam wystarczająco wiele dowodów udokumentowanych regresji reinkarnacyjnych, by wypełnić nimi odrębną książkę – i naprawdę są to materiały udokumentowane. Nigdy nie zakładaliśmy, że podana nam przez klienta informacja z jego poprzedniego życia jest prawdziwa, dopóki jej nie zweryfikowaliśmy. Przykładowo, jeśli ktoś twierdził, że był sprzedawcą pasmanterii, Cliffordem Underwoodem, mieszkającym w Peorii w stanie Illinois w roku 1897, nie było to brane pod uwagę, o ile nie mogliśmy udowodnić, że w roku 1897 w Peorii w stanie Illinois rzeczywiście mieszkał sprzedawca pasmanterii o takim nazwisku.

Tak przy okazji, w trakcie tych wszystkich regresji natrafiłam na tylko jedną reinkarnację „gwiazdy” – XVIII-wiecznego ekonomisty, o którym ja nigdy nie słyszałam, ale kilku historyków już tak. Nie pamiętam nawet jego nazwiska. Uwaga dla tych z was, którzy brali udział w odczytach poprzednich żywotów i którym powiedziano, że jesteście kolejnym wcieleniem Napoleona, Dziewicy Maryi, Williama Szekspira czy Kleopatry – mocno sugeruję, byście poprosili o drugą opinię, nim zaalarmujecie media.

Pewnego dnia podczas odbywającej się właśnie regresji, gdy klient w hipnozie opisywał swoje wcześniejsze wcielenie żyjące w Richmond w okresie poprzedzającym wojnę domową, zapytałam mimochodem:

– Co było celem twojego życia?

– Byłem tam, by nauczyć się, jak zostać budowniczym – odparł bez chwili wahania. Jego odpowiedź nadeszła tak szybko i była tak pewna, że ją zanotowałam. Tego samego wieczora zasugerowałam innym hipnotyzerom, by zadali takie samo pytanie swoim klientom, nie rozwijając go ani nie naprowadzając ich, i zobaczyli, co się stanie.

Zrobili tak i odpowiedzi, jakie otrzymali, były równie szybkie i pewne jak ta, którą ja otrzymałam. Zaczęliśmy wszyscy zadawać to pytanie, zachowując tak pisemne, jak i nagrane odpowiedzi. Odkryliśmy zdumiewające podobieństwa pomiędzy odpowiedziami, wykonując kolejne niezliczone regresje reinkarnacyjne. Wciąż i wciąż na nowo pojawiały się te same 44 „motywy życia”. Po całych

latach poświęconych na dalsze pytania, badania i rozmowy z moją przewodniczką duchową nasza praca przyniosła efekt w postaci czegoś, co nazywam *motywami życia*.

## MOTYWY ŻYCIA

Zdanie sobie sprawy z faktu, że klienci byli w stanie w jednej chwili zidentyfikować cel swego poprzedniego życia, doprowadziło do oczywistego wniosku, że cele obecnego życia muszą być równie istotne i warte podjęcia próby ich zidentyfikowania. Zanim się jeszcze urodzimy, tworzymy swoje plany po Drugiej Stronie, wybieramy dwa z tych 44 celów dla naszego zbliżającego się istnienia na Ziemi – temat podstawowy, czyli, kim jesteśmy, oraz temat drugorzędny, czyli, nad czym tutaj pracujemy. Aby wykorzystać analogię, pomyślcie o tym jak o procesie planowania wycieczki. Naszym podstawowym motywem jest podróż z punktu A do punktu B. Naszym motywem drugorzędnym jest najpoważniejsza przeszkoda, jaką będziemy musieli pokonać po drodze. Nasz plan jest niezwykle szczegółową mapą drogową trasy, jaką zamierzamy obrać.

Wszyscy przybywamy tutaj tak z motywami podstawowymi, jak i drugorzędnymi. Dojście do tego, jakie one są i który jest który, jest ważnym ćwiczeniem pozwalającym rozjaśnić i uprościć nasze życie – a jestem zwolenniczką korzystania z każdej nadarzającej się ku temu okazji. Posiadanie pewnego układu odniesienia co do podstawowej „marszruty” w tym życiu może pomóc nam nie zgubić drogi, a rozpoznanie tego jednego, powracającego wciąż zagrożenia, które z całą pewnością będzie się starało nas zmusić do zmiany obranej trasy, zapobiegnie zaskoczeniu i uczuciu przytłoczenia związanemu z jego pojawieniem się. Na tym polega różnica pomiędzy pozornie przypadkowym mętlikiem a komentarzem kogoś dobrze poinformowanego: „Och, znowu *to*. Wiem, co to jest, i jestem na to przygotowany”.

Jak już powiedzieliśmy w rozdziale pierwszym, powodem, dla którego opuszczamy Drugą Stronę, by od czasu do czasu tutaj przybyć, jest chęć nauki oraz doświadczenia i pokonania negatywności. Zatem nie tylko rzadko wybieramy sobie łatwe motywy życia, ale i często stawiamy przed sobą prawdziwe wyzwanie, wybierając takie tematy podstawowe i drugorzędne, które są ze sobą w konflikcie. Przykład: moim podstawowym motywem jest „humanitarystka”. I nią jestem. Moim tematem drugorzędnym, to, z czym mam się zmagać i co pokonać, jest „samotnik”. To ci dopiero konflikt! Muszę być humanitarystką. To moja radość, pasja i coś równie niezbędne, jak oddychanie. Ale przez całe moje życie gorąco pragnęłam zniknąć gdzieś w Kenii, sięść samiuteńka pod baobabem i tylko pisać od świtu do nocy. To nigdy nie będzie miało miejsca. Były takie chwile, gdy miałam za złe konieczność poświęcenia „samotnika” we mnie

i walczyłam ze wszystkich sił, byleby go nie poddawać. Jednak w wyzwaniu, jakie stanowi motyw drugorzędny, nie chodzi o to, by traktować go jako ciężar, ale jako wybraną przeze mnie, oddziałującą na moje życie siłę, i by odnaleźć sposób na pogodzenie się z nią.

Czytając te 44 tematy życiowe i krótkie ich opisy, zwróćcie szczególną uwagę, jak na nie reagujecie. Nie mam wątpliwości, że wasz duch będzie rozbrzmiewać gromkim: „Tak, właśnie nim jestem!”, gdy rozpoznacie swój motyw podstawowy. Poszukując motywu drugorzędno, możecie spotkać się z subtelniejszą reakcją. Oto wskazówka: szukajcie czegoś, co od tak dawna, jak tylko pamiętacie, mocno was pociąga podczas waszych cichych chwil, a co nawet najbliżsi mogą przyjąć ze zdumieniem. Jeśli jest to coś, co mimo waszej tęsknoty za tym skomplikowałoby wasz motyw podstawowy lub nawet uczyniło go niemożliwym do realizacji, jak to jest w moim przypadku, istnieją duże szanse, że rzeczywiście jest to wasz motyw drugorzędny, a dokładniej mówiąc, wyzwanie, z jakim podjęliście decyzję, że się zmierzycie w obecnym życiu celem rozwoju swojego ducha.

**Aktywator.** Aktywatorzy są tutaj, by zająć się sprawami, którymi inni zająć się nie chcą. Załatwiają sprawy raz a porządnie. Są konsultantami i cieszą się z zakończenia zadania bez względu na to, jak było poważne czy błahe. Aktywatorzy muszą uważać, by się zanadto nie rozdrabniać.

**Analizator.** Analizatorzy muszą przypatrywać się, jak i dlaczego wszystko działa. Ich wartość jest nie do przecenienia na płaszczyźnie naukowej i na innych płaszczyznach technicznych. Ich obawa przed przeoczeniem czegoś może sprawić, że będą mieć kłopoty z rozluźnieniem się, zaufaniem instynktowi i nabraniem dystansu na tyle, by zobaczyć szerszy obraz sytuacji.

**Bierność.** Ludzie bierni są niekiedy postrzegani jako słabi, podczas gdy właściwsze byłoby określenie ich jako nieprzeciętnie wrażliwych na emocjonalne niepokoje. Mają swoje własne zdanie, ale wyrażają je najefektywniej na forum niekonfrontacyjnym, zaś gdy zajmują jakieś stanowisko w określonych tematach, nigdy nie stosują przemocy. Ludziom z motywem bierności trudno jest radzić sobie ze skrajnościami, ale wywołanie lekkiego napięcia może być cennym narzędziem, by skłonić ich do działania.

**Budowniczy.** Budowniczo wie są „wiatrem, co unosi skrzydła” społeczeństwa, często niewidocznymi, ale niezbędnymi trybikami, sprawiającymi, że koła dokonań wciąż się obracają. Budowniczo wie nie należą do tych, co to dokonują przemarszu przez scenę, by odebrać nagrodę; są tymi, którzy odegrali istotną rolę w wybrukowaniu drogi prowadzącej do tej sceny. Mogą się czuć

niedoceniani ze względu na fakt, iż nie przypisuje im się zasług, jakie im się słusznie należą, lecz muszą mieć w pamięci, że nagroda za wybranie i elegancie opanowanie motywu budowniczego leży w szybkich postępach czynionych przez ducha na jego ścieżce ku doskonałości, co jest znacznie cenniejsze niż jakiegokolwiek trofea.

**Chorąży.** Stojąc w pierwszych rzędach bitew z tym, co uważają za niesprawiedliwość, chorąży będą pikietować, demonstrować, lobbować i robić wszystko, co trzeba, byleby tylko wywalczyć swoją wizję tego, co „słuszne”. Dla chorążych wyzwaniem jest nauczenie się, że mogą przedstawić swoje zdanie w sposób bardziej efektywny, zachowując się taktownie i z umiarkowaniem, zamiast z wywołującym podziały fanatyzmem. W latach 60. XX wieku było wielu takich chorążych, jak choćby Abbie Hoffman, Jerry Rubin i inni, pełni dobrych intencji radykalni aktywiści antywojenni.

**Ciemężyciel.** Ciemężyciel jest tutaj, by zebrać wokół siebie i osiągnąć całkowitą kontrolę nad tak dużą liczbą ofiar, jak to tylko możliwe. Jego celem jest bycie otoczonym zawsze widocznymi przejawami własnej władzy. Wola i uczucia ofiar nie mają znaczenia, o ile nie współgrają idealnie z wolą i uczuciami ciemężyciela, i jedyne współczucie, jakie jest on w stanie okazać, kierowane jest ku jego własnemu, przeczulonemu, nienasyconemu ego. Na małą skalę jest sprawującym kontrolę kochankiem lub małżonkiem, prześladowcą, patologicznie nadgorliwym rodzicem itp. Na większą skalę są Jimem Jonesem ze Świątyni Ludu<sup>8</sup>, „Bo” i „Peepem” organizującymi masowe samobójstwo członków Bramy Niebios, Davidem Koreshem z Gałęzi Dawidowej<sup>9</sup> – każdym, kto domaga się tego typu niewolniczego oddania, że nawet dzieci, którym nie pozostawia się wyboru, zostają poświęcone nie w imię Boga, ale w imię ciemężyciela.

**Cierpliwość.** To jeden z tych motywów, które stanowią większe wyzwanie, ponieważ cierpliwość stanowi nieustanny wysiłek w świecie, w którym niecierpliwość jest praktycznie uznawana za godną pochwały umiejętność radzenia sobie z sytuacją. Wybór cierpliwości jako motywu wskazuje na pragnienie, by w duchowej podróży ku doskonałości poruszać się szybciej od tego, kto wybrał mniej wymagający temat – innymi słowy: cierpliwość na swój sposób wskazuje na duchową *niecierpliwość*. Oprócz nieustannej walki, by nie ulec wpływowi stresu, ci, którzy wybrali cierpliwość jako swój motyw, często walczą z poczuciem winy, wywołanym sporadycznymi potknięciami popełnianymi w wysiłku dotarcia do swego celu, i z gniewem, jaki w swojej opinii powinni stłumić. Roz-

<sup>8</sup> Sekta religijna założona w 1953 w San Francisco przez Jamesa Jonesa. Należało do niej około 30 tysięcy ludzi. Jones wykupił w Gujanie teren, na którym założył miasto Jonestown. Ostatecznie ponad 900 osób w nim żyjących zażyło truciznę. Jones został odnaleziony z kulą w czaszce.

<sup>9</sup> Sekta powstała w 1955 roku, w której władzę po roku 1984 przejął Vernon Wane Howell (David Koresh). Sekta zakończyła swój żywot po trwającym 51 dni oblężeniu posiadłości grupy przez FBI. W trakcie starć zginęło ponad 80 osób, w tym wiele kobiet i dzieci.





**Sylvia Browne** – światowe medium, autorka wielu bestsellerych książek, regularnie występująca w programach radiowych i telewizyjnych, fenomen w dziedzinie zjawisk paranormalnych. Prowadzi wykłady, seanse hipnozy i regresji, pomaga w śledztwach – wszystko to dzięki niezwykłym zdolnościom, które otrzymała w chwili narodzin. Bliscy nie odchodzą... jest uwieńczeniem jej niemal półwiecznej praktyki i zbieranych przez lata doświadczeń.

Czy masz czasem poczucie, że bliska Ci osoba, którą utraciłeś jest przy Tobie? Czy świadomość ciągłej jej obecności oraz pomocy tych, co po Tamtej Stronie sprawia, że czujesz się lepiej?

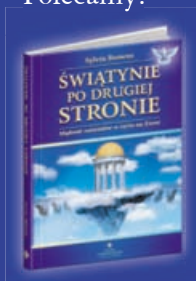
Ta książka jest dla tych, którzy chcieliby spędzić choć jeszcze jedną chwilę z osobą, która odeszła. Jest o dostrzeganiu radości życia, o strachu przed śmiercią oraz – co najważniejsze – o Twoim celu istnienia. To wyjątkowa możliwość poznania Planu Życia, jaki sami wybraliśmy przed przyjściem na świat. Teraz możesz się dowiedzieć, czy wybór rodziców, rodziny, kariery, zdrowia czy finansów okazał się słuszny i pomaga Ci odnaleźć sens życia.

Poznając swoją życiową misję możemy ją realizować korzystając z pomocy aniołów, przewodników duchowych i tych, którzy są po Tamtej Stronie. Zamieszczone opisy sesji regresji i hipnozy oraz ćwiczenia do medytacji będą pomocne w odkrywaniu poprzednich wcieleń.

*Jeśli choć jedna rzecz w tej książce doda Twojemu życiu miłości,  
radości, nadziei, mocy lub spokoju, to było warto...*

– Autorka

Polecamy:



**Karty  
do czytania mojej duszy**

**Cena: 39,30 zł**

Patroni medialni:

